

„Chichot losu”

Kiedy byłam małą dziewczynką, a dorośli pytali się kim będę w przyszłości odpowiadałam - mamą, było to dla mnie oczywiste. Kiedy podrosłam opiekowałam się moim małym braciszkiem, później byłam instruktorem harcerskim, miałam pod opieką ok 20 zuchów (dzieci w wieku od 7-12). Pracowałam w przedszkolu. Ciągłe towarzyszyły mi dzieci. A że życie nie jest bajką, los postanowił ze mnie zadrwić, pozbawiając mnie możliwości posiadania dzieci. Usiłowałam sobie z tym poradzić, lecz nie potrafiłam i wtedy zrodził się pomysł zostania rodziną zastępczą.

W drodze do swego celu spotkałam ludzi, którzy wyciągnęli pomocną dłoń, oraz ich przeciwników - osoby, które wiele zrobiły aby mnie zniechęcić. Nie udało im się, ukończyłam kurs dla rodzin zastępczych, dla mnie był bardzo wartościowy. I zostałam rodziną zastępczą niezawodową.

Rodziny zastępcze różnie postrzegane są w naszym społeczeństwie. Doniesienia prasowe o rodzinach zastępczych potęgują złą opinię. Ludzie nie zadają sobie wysiłku, aby pomyśleć, że w każdej grupie społecznej znajdują się czarne owce. Mnie osobiście nie podoba się nazwa "zastępcza" - kojarzy mi się (z czasów kartkowych) z wyrobem czekoladowopodobnym, który miał zastępować czekoladę, ale nie miał ani takiego smaku ani zapachu. W tym przypadku zamieniono coś pysznego na niezbyt smaczne "coś". Te rodziny zastępcze, której ja poznałam to cudowni, ciepłi ludzie, którzy mają serce na dłoni.

Kiedy ktoś mnie pyta czy ciężko jest być rodzicem zastępczym odpowiadam pytaniem czy łatwo jest być rodzicem?

- Kiedy dziecku chce się przekazać to co najważniejsze od siebie.
- Kiedy chcemy pokazać mu świat
- Kiedy chcemy uchronić go od wszystkiego złego,
- Kiedy chcemy przekazać dziecku, że bogactwo człowieka to nie tylko zasoby materialne, bo to również wiedza, serce i otwartość na drugiego człowieka.

A dzieci w rodzinach mają dodatkowy balast w postaci swoich przeżyć a my rodzice zastępczy, staramy się, aby zrobić wszystko by mogły być beztroskimi dziećmi.

Pamiętam jak stanęło przede mną po raz pierwszy "moje" dziecko - tysiąc nieszczęść, z przyklejonym uśmiechem i wielkim strachem w oczach. Obawy udzieliły się również mnie, chciałam podejść wziąć w objęcia, tulić i pozwolić nam płakać, aby łzy zmyły strach, lęk i wszystko co złe, lecz nie chciałam być napastliwa.

W każdym dniu uczyliśmy się siebie, z każdym dniem wzrastało między nami zaufanie i uczucie. Pracuję zawodowo, dziecko chodzi do pierwszej klasy. Razem pieczemy ciasta, smażymy naleśniki, przybijamy gwoździe, wiercimy, skręcamy szafki, przesadzamy kwiatki, Nadrabiamy zaległości edukacyjne i zaniedbania zdrowotne. Są wzloty, upadki, łzy i śmiech do łez ot po prostu życie.

- Mamo, mam poczekaj - muszę podnieść ślimaka z ulicy, bo samochód go rozjedzie.

A ja, cóż, czekam, choć grozi to spóźnieniem na kolejną wizytę lekarską. Czekam a duma mnie rozpiera, że udało mi się przekazać dziecku, że słabszym i zwierzętom trzeba pomagać.

Na swoim portrecie mam za krótkie ręce, oczy nierówno rozmieszczone, nierówne włosy, ale uśmiecham się szeroko i najważniejsze - malował mnie wielki mistrz pędzla - "moje" dziecko.

Kiedy wieczorem zaśnie słyszę spokojny oddech, mam nadzieje, że ma kolorowe sny. A ja padam ze zmęczenia, jeszcze tyle mam do zrobienia na jutro, ale nie pozwolę odebrać sobie tego zmęczenia nikomu, bo to brat bliźniak mojego szczęścia. Tak, jestem szczęśliwa. W każdym dniu daję coś z siebie i mam nadzieje, że wkraczając w dorosłość "moje" dziecko będzie miało duży bagaż wiedzy, rozumu, ale również wielkie serce. I choć nie będzie miało moich genów w dorosły świat weźmie cząstkę mnie.

A ja może będę jeszcze szczęśliwsza bo..... pst... o marzeniach się nie mówi, bo się nie spełnią.

Lidia Korcala